

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. | Kraków, 27 marca 1915. | Nr. 13.

Droga Legionów.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończymy I-szy kwartał XII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma.

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Austryi czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17·— marek
Półrocznie	8 „	8 50 „
Kwartalnie	4 „	4 25 „

Droga Legionów.

(Do illustracyi tytułowej).

W olbrzymich bojach milionowych armii, walczących na ziemiach polskich o Polskę i władztwo w Europie, działalność Legionów naszych jest równoległą z tą burzą uczuć, jaka wre w duszy narodu, jest i pozostanie niezapomnianą kartą naszej historyi współczesnej, zapisaną krwią serdeczną tych, których jako największą ofiarę wysłał w pole w imię swej przyszłości naród polski. I walczą tam i giną gdzieś ci nasi najmilsi wśród mroźnych zawiei, wśród śniegów, na zimnie i deszczu, w trudach niezmiernych i znoju.

W potężnym łańcuchu Karpat byli wszędzie, gdzie grały karabiny i armaty, gdzie lała się krew. I znają ich tam już i poczciwi górale z Górców i Łemki od Krynicy i ze Spiżu Słowacy i Rusini z Karpat lesistych i ci z Bieszczad i z Pokucia, Huculi, Węgrzy i Rumuni.

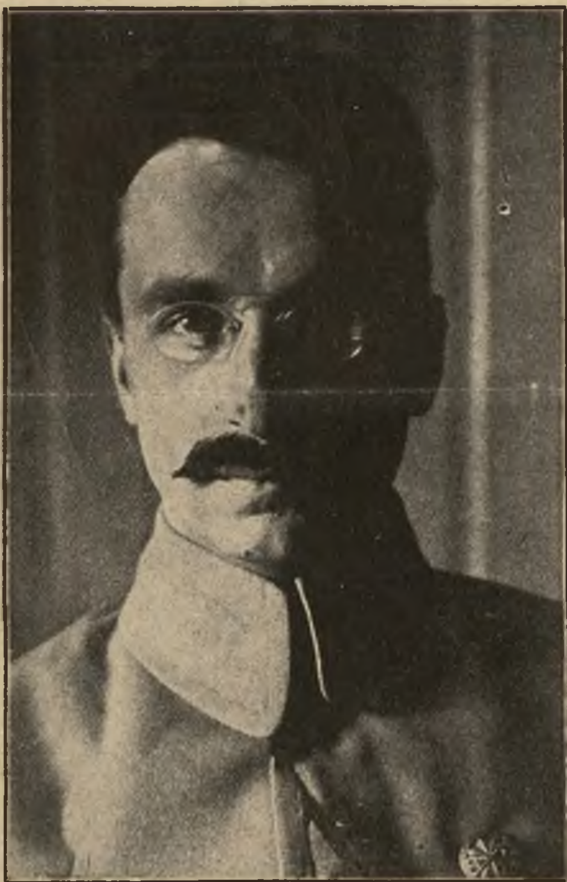
To jako lotne oddziały wywiadowcze znoszą te szare wojaki nasze cenne wiadomości, to zwartą masą łamią szeregi wrogów w zażartych walkach, to idą jako straż tylna broniąc odwrotów, przewijają się wśród sieci wrogich wojsk, zawsze ci sami, zawsze dzielni, niestrudzeni, zda się nieznający przeszkód, łamiąc je i pokonując trudności z tą właściwą Polakom fantazyą, która „sił nie mierzy na zamiary“.

Wojna dzisiejsza to nie występ strojnych w atłasy i pióra rycerzy, wybierających i porę i teren; to trud i żmuda, to walka nie tylko z wrogiem, ale i z tysiącem przeszkód wszelakiej natury.

Walki w Karpatach, wśród śniegów po pachy, przy 20 stopniowych mrozach, w śnieżycach, mgłach i zawieruchach, posuwanie się po dzikich drożynach górskich, lub bez dróg, zastępowanie koni przy armatach, dźwiganie na własnych plecach ciężarów tam, gdzie koń nie przejdzie, długie marsze, niera o głodzie, gdy żołnierze zapadają się po szyję w zawiane śniegiem dziury — życie w ciągłej walce, w ogniu karabinów, pod deszczem szrapneli, bez snu czasem i odpoczynku — to zaiste ogrom trudów, o których nie ma pojęcia ten, kto tego nie ujrzy i nie przeżyje. A jednak przetrzymują to wszystko nasze dzielne wojska, a z niemi i nasze Legiony. Przetrzymują zaś z brawurą, dzielnością i uporem, zaco nie szczędzi im uznania nawet wróg.

Wśród tych prac i trudów pozostanie dokumentem i pomnikiem działalności Legionistów droga, gdzieś tam w Karpatach przez nich zbudowana, już strasowana, wciągnięta w ewidencyę, wykończona i nazwana oficyalnie „drogą Legionów“.

Zaiste — dumą wzbiera serce, kiedy się widzi te wysiłki, ten zapał, z jakim ponieśli swe siły i dusze płomienne ci nasi najmłodsi w pożogę wojny. A, jeśli kiedyś, gdy pokój nastanie i zaświta nam lepsza przyszłość, los pozwoli, czy zdarzy, postawić nam stopę na tej „drodze Legionów“, wśród cichej zadumy serdeczną łzę z oka wyciśnie przypomnienie i czasów, w jakich ta droga powstała i rąk, które ją zbudowały.



Z pułku Piłsudzkiego: Podpułkownik Kazimierz Sosnkowski, szef sztabu



Z pułku Piłsudzkiego: Brygadyer Józef Piłsudzki.

Z pułku Piłsudzkiego.

Poszły Legiony polskie w bój — poszły w nadziei, że wywalczą lepszą przyszłość dla narodu polskiego... Upłynęły już miesiące zaciętych, ciężkich walk, które okryły nową sławą żołnierza polskiego. W szeregu nazwisk, które zajaśniały szczególnym blaskiem w tej pożodze wojennej, pierwsze miejsce zajmuje brygadyer Józef Piłsudzki. Inicyator i wódz armii polskiej, następnie dowódca pierwszego pułku Legionów stał się uosobieniem tej idei niepodległościowej, która powołała pod broń młodzież polską, a na polach bitew zasłynął jako genialny dowódca, który godnie utrzymał tradycyę oręża polskiego... Brygadyer Piłsudzki stał się też bożyszczem towarzyszów broni i zdobył gorące uznanie naczelnej komendy armii.



Z pułku Piłsudzkiego: Podporucznik Zygmunt hr. Sulistrowski, adjutant brygadyera Piłsudzkiego.

Niepodobna w krótkim artykule wyliczyć wszystkich czynów, jakich dokonał Piłsudzki na czele swego pułku. Należy jedynie zaznaczyć, że potrafił on zgru-





Oficerowie I. batalionu z kapitanem Sławem w pośrodku. **Z pułku Piłsudzkiego:** Oficerowie saperów.



Oficerowie I. batalionu.



Z pułku Piłsudskiego: Brygadyer Piłsudzki w otoczeniu sztabu w towarzystwie prezesa N. K. N dr. Jaworskiego, hr. Michałowskiego i hr. Morstina rozdaje w Kętach medale.

pować koło siebie i natchnąć gorącem uczuciem patryotyzmu i cnót żołnierskich swe karne szeregi. Pułk Piłsudzkiego, to szczególna armia. Wszyscy tam są równymi „obywatelami", służącymi jednej świętej sprawie, a pomimo to dyscyplina i karność wzorowa — podyktowana poczuciem obowiązku i miłością dla ukochanego wodza.

Wyrazem tej miłości podkomendnych i uznania ze strony społeczeństwa polskiego, była owacya, jaką zgotowano brygadyerowi Piłsudzkiemu 19 b. m., w dniu jego imienin. Wzięły w niej udział szersze koła naszego społeczeństwa, które z inicyatywy krakowskiego komisaryatu N. K. N. przesłały mu adres z podpisami.

Przyłączając się do tego hołdu, zamieszczamy w dzisiejszym numerze podobizny brygadyera Piłsudzkiego i jego dzielnych towarzyszów broni oraz szereg epizodów z życia pierwszego pułku Legionów.



Z pułku Piłsudzkiego: dr. Rouppert, naczelny lekarz.

Absolwenci jedynego zakładu zawodowego w Krakowie.

Gdy nad Krakowem rozpostarło się w jesieni ubiegłego roku widmo ewakuacyi i wszystkie instytucye opuściły miasto, szkoły były jedynie instytucyami, które właśnie wtedy postanowiono otworzyć i prowadzić pomimo ewentualnego oblężenia i braku własnych budynków, zajętych od sierpnia na szpitale wojskowe. Wyświadczono przez to wielkie dobrodziejstwo znacznemu jeszcze zastępowi młodzieży, która byłaby bezczynnie marnotrawiła czas.

Jedynym zawodowym wyższym zakładem naukowym, otwartym w Krakowie i prowadzonym dotąd od października bez przerwy, jest Akademia handlowa, której dyrekcya w wynajętych dwóch lokalach z pozostałemi w Krakowie siłami profesorskiemi, wprowadziła w życie wszystkie dotychczasowe kursa.

W ten sposób umożliwiono całemu szeregowi uczniów uzupełnienie różnych egzaminów potrzebnych teraz młodym ludziom dla uzyskania prawa jednorocznej służby wojskowej, innym zaś ukończenie szkoły bez utraty roku.

Fotografia nasza przedstawia profesorów i tegorocznych absolwentów IV kursu Akademii handlowej, którzy pozostali z liczby 24, podczas gdy ich siedmiu kolegów służy w Legionach (trzech oficerów), pięciu w wspólnej armii, dwóch na posadzie.



Z pułku Piłsudzkiego: Podporucznik Wieniawa, plutonowy pierwszego szwadronu ułanów.









Z pułku Piłsudzkiego:

Porucznik Gludziński. Podporucznik Łobaczewski. Dr. Debnel. Staszek Armółowicz.



Z pułku Piłsudzkiego: Podporucznik Dudzieniec, plutonowy ułanów.

Nowa wojna.

Konflikt chińsko-japoński, do którego początkowo przywiązywano zbyt małą wagę, przybiera coraz groźniejszy charakter, żądania bowiem Japonii są stanowczo wygórowane, co przyznaje nawet prasa angielska.

Japonia mimo to obstaje przy swych postulatach i ponownie zażdała, w tonie bardzo kategorycznym, odpowiedzi, równocześnie zaś wysyła swoje wojska na terytoryum chińskie, przeprowadziwszy już u siebie ogólną mobilizacyę.

W Chinach wobec tego usposobienie antijapońskie wzmaga się z każdym dniem, koloniści japońscy znajdują się w poważnem niebezpieczeństwie, a ogólna opinia oświadcza się za wypowiedzeniem wojny, ponieważ, jak brzmi rezolucya, uchwalona podczas masowej manifestacyi w Szangaju, „lepiej jest zginąć na polu walki, niż zostać niewolnikiem Japonii". Po kraju rozrzucono także w wielkiej ilości pisma wrogo dla Japończyków usposobione.

Sytuacya zmieniła się o tyle na korzyść Chin, iż faktem jest dokonanym, że Stany Zjednoczone zarówno wprost w Tokio, jak i przez ambasadora japońskiego w Waszyngtonie, wręczyły energiczny memoryał, w którym wskazują na istniejące umowy, pozostające w sprzeczności z obecnemi żądaniami rządu japońskiego.



Z pułku Piłsudzkiego: Komenda placu w Kętach

Na terenie walk w Królestwie Polskiem.

Jakkolwiek szczupłe przychodzą teraz wiadomości z placu boju w Królestwie Polskiem, nie oznacza to wcale przerwy w działaniach wojennych, które zamieniły się tylko w walki pozycyjne. Choć nie przynoszą one tak szybkich rezultatów, wymagają tak samo napięcia i wytrwałości, a w obecnych warunkach atmosferycznych, wśród mrozu, śniegu i deszczu, nakładają na wojska olbrzymi ciężar trudów. I trzeba przyznać, że armia austryacka, która w ostatniej ofenzywie zajęła znaczny obszar południowej części Królestwa Polskiego, na zajętych pozycyach trzyma się dzielnie, odpierając skutecznie wszystkie ataki rosyjskie. Jest to zasługa zarówno wytrzymałości i dobrego ducha żołnierzy, jak i kierownictwa armii, które, gdzie tylko było można, zarządziło pobudowanie nie tylko szańców dla obrony, ale okopów tak urządzonych, że dają wojsku doskonałe schronienie przed niepogodą i zimnem. Na jednej z naszych illustracyi widzimy właśnie takie podziemne mieszkania artyleryi, w których nie brak nawet okien.

Armia austryacka zagospodarowała się też zupełnie w zajętych miejscowościach Królestwa Polskiego, gdzie zaprowadzono już zarząd cywilny, normujący stosunki miejscowe, a co ważniejsza, zapewniający ludności, która tak strasznie ucierpiała skutkiem wojny, pomoc i żywność.



Nowa wojna: Cesarz japoński.



Obiad u saperów.

Z pułku Piłsudzkiego:



Stajnia sztabowa.

JÓZEF LASOŃ.

Pułk drugi.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

3

Zadyszany żołnierz z raportem przybiegł.

— Obywatelu kompanijny! W kierunku naszym, na górę, maszeruje kompania piechoty nieprzyjacielskiej.

— Dobrzeście przepatrzyli?

— Dobrze.

— Poznaliście w nocy, że to nieprzyjaciel?

— Tak, niby dokładnie nie widziałem. Słyszałem tylko trzask łamanych gałęzi i jakiś podejrzany stuk, jakby cała kompania maszerowała w tym kierunku.

— To mi nie wystarcza — odrzekł gniewnie. — Daleko stąd?

— O jakie czterysta metrów w dolinie.

Na komendę zerwali się żołnierze i w linię tyralierską, jak wąż długą, rozciągli. Wkopali się w śnieg, tylko lufy karabinów i czapki z za śniegu wyglądają. Kompanijny z wyciągniętą szablą i z rewolwerem, gotowym do strzału, za żołnierzem śmiało w gąszcz idzie, bacznie nadsłuchując.

Słychać łamanie gałęzi, stuk butów uderzających o ziemię.

— Rzeczywiście — szepcze Dziekanowski — coś jest!?

Chwila wyczekiwania... Żołnierz z nabitym karabinem czeka na głos komendy, aby dać ognia. Uroczysta cisza, przerywana tylko odgłosami kanonad armatnich i szmerem zbliżających się nieprzyjaciół. Krew w żyłach szybciej krąży, ręka z niecierpliwością drży. Cała myśl skupiona w oczekiwaniu na to, co będzie za chwilę.

Kompanijny ostrożnie odsuwa krzaki, wpatruje się w ciemność. Coraz bliżej podejrzany łoskot przedziera się przez gąszcza.

Nagle... hyc... hyc... przeskoczyły przez głowę Dziekanowskiego olbrzymie jelenie i pobiegły w stronę leżących w śnieżnych okopach żołnierzy. Niejeden z żołnierzy wzdrygnął się, kiedy błyskawicznym skokiem przesadziły jelenie rowy strzeleckie i w panicznym strachu zemknęły w las. Wystraszony zwierz, w trwodze uciekając, przedzierał się przez gąszcza, szukając bezpiecznego ukrycia.

Natężył słuch kompanijny.

Wyraźnie dał się słyszeć stuk maszerujących żołnierzy. Już nie ma wątpliwości. Podnosi szablę do góry, przesunąć chce się na bok, aby zejść z terenu własnego ognia i rzucić komendę. Stukot coraz bliżej. W duchu śmieje się i cieszy, że w pułapkę dostanie Moskali, sprawi rzeź i zabierze niewolnika. Teraz odpowiedni czas. Na ustach już ma komendę, gdy nagle dają się słyszeć znajomy głos:

— Psiakrew, gdzież kompanijny Dziekanowski z plutonem wlazł. Znaleźć go trudno.

— To nasi — szepczą żołnierze i z żalem spuszczają palce z cynglów.

— To nasi — powtarza kompanijny, z grymasem krzywiąc usta.

Poznaje po głosie chorążego drugiego plutonu, wywołuje po nazwisku. Za chwilę połączyły się plutony. Śmieją się oficerowie i żołnierze.

— Już my was mieli przywitać — przemówił kompanijny — myśleliśmy, że to Moskale, tembardziej, że żołnierz posłany na patrol przybiegł z alarmującą wiadomością. Byłoby nieszczęście. Czemu nie dano mi znać, że idziecie mi w pomoc.

— W ostatniej chwili posłano mnie do was — usprawiedliwia się plutonowy szwajcarów — Porucznik Florek obsadził przełęcz. Jeśliby do rana nie było nic, mamy się połączyć w wąwozie.

— O której?

— O ósmej!

Z żalem podnieśli się żołnierze, z nosami spuszczonymi na kwintę, gdyż spodziewali się trochę rozgrzać... od ognia.

Szarzeć poczęło. Powoli ciemność poczęła się rozpadać, rozwidnił się horyzont wschodni, z za chmur padły pierwsze promienie wschodzącego słońca. Raźniej zrobiło się żołnierzowi, weselej, bo dzień nastawał. Chrupać poczęli suchary, konserwy odpieczętowali.

— Hej, chłopcy — przemówił kompanijny — a schować tam trochę konserw. Niewiadomo, co nas czeka, może nie prędko będziemy na kwaterze.

Niejeden się skrzywił, bo zjadłby naraz ze dwie puszki, ale rozkazu, raczej rady przyjacielskiej usłuchał, chowając skrzętnie resztę prowiantu.

Koło szóstej rano przybiegł ordynans batalionu, przywiózł rozkaz. Pluton szwajcarski ma spełnić świeże zadanie.

Zerwali się szwajcarzy i wio... w drogę.

Dziekanowski z plutonem pozostał na poprzedniem stanowisku. Dobra godzina upłynęła, zanim usłyszano pierwsze strzały w dolinie.

— Widocznie Florek z kompanią w walce — szepnął Dziekanowski; po chwili decyzyę powziął.

Gruchnęła salwa w dolinie, poczem dał się słyszeć pojedyńczy ogień. Drzewa zasłaniały widnokrąg, okrywały tajemnicą toczącą się walkę w dolinie.

— Baczność! — komenderuje Dziekanowski. — Za mną, marsz!

Po północno-wschodnim stoku góry schodzi pluton, przemyka się przez kolczaste krzaki, przełazi przez zwalone pnie drzew. Na tyły trzeba im zajść.

Ręce pokłute od ostrych kończyn krzaków, twarz podrapana od prętów krzaków, pluton prze naprzód, choć tam i potknie się który i pośliźgnie. Galopem chce przebiedz, aby na czas zajść. Niektórzy pomagają drugim przy przechodzeniu przez pnie zwalonych buków. Okrążyć trzeba dolinę.

Przez rozrzedzone drzewa widać uciekających w popłochu żołnierzy nieprzyjacielskich.

Posłano salwę za nimi, jedną i drugą, ale pędzili w panicznym strachu, jak opętani.

Kompania Florka dobrze się sprawiła.

Natarła niespodzianie na wkraczającego chytrze nieprzyjaciela, który nie przeczuwał niebezpieczeństwa. Zostawiwszy kilkunastu rannych i zabitych, umknął w popłochu.

Ale to był dopiero początek zadania. Lasy przeszukać trzeba, przetrzebić, wąwozy dobrze przejrzeć, ewentualnie zabezpieczyć przed napaścią Moskali. Ciężka to była służba. Przez trzy pełne doby przeciągła się, choć już niejeden z przemęczenia osłabł. Wreszcie przyszedł rozkaz cofnięcia się na kwaterę.

Tu już wszystko oczyszczone z nieprzyjaciela. Ucichła i kanonada pod Marmarosz Szigetem. Pierwszy i drugi batalion spisał się dzielnie.

Śmiało rzec można, połowa z nich pierwszy raz miała w rękach karabin systemu greckiego. Ale za tygodnie wykształcenia wojskowego starczył im gromki apel pułkownika Zielińskiego:

— Jesteście Polakami! Polacy nigdy nie pierzchali! Naprzód Polacy! Z nami Bóg i zwycięstwo!

Choć były przeważające siły nieprzyjaciela i nieustanny ogień działowy słano w szeregi polskie, wróg cofnąć się musiał ze znacznemi stratami.

. . . .

Maszeruje pluton za plutonem, po ciężkiej pracy idzie na spoczynek. Zdaleka widać miasteczko D., w którem czeka dobra kwatera i kucharze, z kotłami ugotowanej strawy.

Pomięte płaszcze, zasmarowane twarze, znać na nich trud i ciężkie chwile, niejeden kuleje, niejeden potyka się. Ale wesołość i zadowolenie znać na obliczach.

Z kotłów dymi się ciepła strawa, raduje się wygłodniały żołądek żołnierski. Teraz ci wpadną w łapę swojego kucharza, który macha olbrzymią chochlą, jakby starożytnym mieczem, lub zdobytym sztandarem, wzrokiem dumnie wokoło wodzi, jakby był baszą tureckim, i pytluje:

— Kto bił się, dostanie żryć, reszta nic.

Z lasu wysuwa się pluton szwajcarski. Zmęczeni, strudzeni, ale gdy zobaczyli stojące opodal kuchnie i czekającą na nich kwaterę, ryknęli pieśnią. Furmański bas przewodniczył im:

Przyjechali trzej u'ani z wojny,
Pytali się o nocleg spokojny,
U... ha...
Pytali się o nocleg spokojny.

I znaleźli gospodę malutką i t. d.

Brzmi pieśń radośnie, echo roznosi ją po miasteczku.

— Tacy umęczeni, jednak radośnie śpiewają — szepczą do siebie mieszkańcy wioski, lecz i ich ta pieśń rozwesela, obawy przed najściem nieprzyjaciela usuwa.

— Polski żołnierz to jest, wypędzi Moskala — szepczą w duchu.

. . . .

I po kilkudniowej ciężkiej służbie i boju, spoczął żołnierz, aby sił świeżych nabrać do dalszych walk.

*
* *

Przez parę dni pozostał III. batalion na kwaterze. Przez ten czas wysyłane patrole przeszukiwały okolice, przyczem aresztowano kilkunastu ludzi podejrzanych o szpiegostwo. I tu zapuściły się ruble rosyjskie, aby grunt sobie przygotować. Chorąży Kordyan przyprowadził w pierwszym dniu sześć osób. Dwóch cyganów, kobietę z dzieckiem i trzech Rusinów.

Część aresztowanych uwolniono, a resztę pod eskortą żołnierzy odesłano armii austryackiej, która się nimi „zaopiekowała".

W czwartym dniu odpoczynku, pod wieczór przygalopował austryacki dragon, rozkaz pułkowy przywiózł. Natychmiast przywołano oficerów na odprawę. Ożywiły się twarze żołnierzy, gdyż przykre dla nich było bezczynne życie. Ogromna była wśród nich chęć pukania z karabinów.

Odprawa tegoż dnia odbyła się o piątej godzinie. Zwykle odbywała się o szóstej. Batalionowy Fabrycy przy odprawie zaznaczył, że porozdzielał funkcye dla poszczególnych plutonów i oficerów. Wkońcu zwrócił się do mnie, polecając tren pod opiekę.

— Pierwszy tren liniowy, ośmnaście wozów, wy poprowadzicie w odległości stu kroków od batalionu. Za wami pojedzie rezerwa trenu, trzydzieści dwa wozy, w odległości jednego kilometra. Poprowadzi Mroczkowski. Straż tylną pełnić będzie pluton szwajcarski z XII kompanii. Ma być spokój, porządek i uwaga. Przez noc trzeba spakować cały tren, rano o dziewiątej wyruszamy.

— Według rozkazu! — uderzyłem obcasami, aż pukło, machnąłem energicznie w tył zwrot. — Bądź, co bądź — myślę sobie w duchu — poszła moja persona w górę, odpowiedzialnym komendantem zostałem. Teraz ci będę „gębować", gdy się który sprzeciwi. A niech się co stanie, odpowiadać muszę za wszystko.

Rozmyślając o tem wszystkiem, powoli schodziłem po stopniach drewnianych na parter. Przy drzwiach wchodowych stała garstka żołnierzy, którzy na mój widok, zasalutowawszy, krzyknęli:

— Cześć, komendancie trenu!

— Cześć wam i chwała. Skądże już wiecie? Niczem telefon.

— Mroczkowski mówił!

— A pamiętajcie tam chłopcy, dobrze się sprawić, gdyż inaczej źle z wami.

— Jak aniołki będziemy posłuszni i pracowici!

— Wy i aniołki! Bodaj was! Cześć!

— Cześć i chwała! — swawolnie odpowiedzieli.

Przez noc pracowaliśmy jak konie. Amunicya, konserwy, rozmaite prowianty i zapasy intendantury zostały wpakowane na wozy, poprzykrywane starymi płaszczami, aby uchronić przed deszczem. Do piątej rano trwała ta żmudna praca, podczas ulewnego deszczu. Zazdrościłem mimowoli śpiącym w zimnej szopie żołnierzom, którzy przynajmniej dach nad głową mieli i przespać się mogli. Zmęczony rzuciłem się po skończonej pracy na furę z kocami, wtuliłem się w środek, jak zając w kapustę, i poczułem w najlepsze chrapać. Niedługo jednak ta uczta Morfeuszowa trwała, gdyż przebudził mię głos adjutanta, który jak trąba jerychońska ryczał:

— Komendant trenu! Komendant trenu! Do mnie!

Cóż było robić. Wypełzłem z powijaków, czyli z kocy, przypasałem szablę (żartobliwie nazwaną przezemnie: „federmesser") i udałem się na górę, do kancelaryi batalionu.

— Co, wy jeszcze śpicie — pół żartem spytał adjutant Jakubowski.

— Nie, adjutancie, ja dopiero chciałem spać.

— To źle! Co to za żołnierz, któremu się chce spać... a i w dodatku może jeść mu się chce — roześmiał się.

— A tak! Zjadłbym coś! I napiłbym się...

— To potem. A teraz słuchajcie. O dziewiątej wymarsz. Koni nie mordować, gdyż droga nas długa czeka. Na wozach nie śmie nikt jechać. Gdyby konie słabły, a zapasowych nie wystarczyło, po drodze trzeba zarekwirować. Daję wam upoważnienie do wystawienia kwitów, które natychmiast kasyer batalionu, Miłkowski, wypłaci. Szczególną uwagę zwracam na wozy amunicyjne. Natężona uwaga wszędzie, gdyż spotkanie z nieprzyjacielem bardzo możliwe. Do pomocy dostaniecie sierżanta Zielińskiego, który będzie waszym zastępcą.

Skrzywiłem trochę nosem, na myśl, że Zieliński będzie przy mnie, alem nie okazał tego przed batalionowym, jak również przed adjutantem.

Po objaśnieniu pewnych zasadniczych rzeczy, pożegnałem adjutanta, który na odchodnem obdarzył mnie gęsią nóżką, pieczoną co prawda, ale rzec można, że więcej była surowa, niż pieczona.

— Hm! — mruknąłem — Zielińskiego mi dali. Co ja z nim zrobię?

Właściwie nazywaliśmy go Ciuchciński. Nie powiem, aby to był zły człowiek lub żołnierz, lub też nie dający się znosić. Owszem, lubili go przełożeni i podwładni, bo był to chłopak dzielnego serca, tylko, że ślamazarny bardzo i powolny. Strzel mu z armaty nad uchem, to on głowę odwróci i spyta: „Z armaty strzelono?" i dalej, co zaczął, robić będzie. A jak się raz uwziął leżąc w okopie, że musi zastrzelić wysokiego grenadyera carskiego, który się często na okopie nieprzyjacielskim ukazywał —

tak też i zastrzelił go. Ba, ale jak? Siadł sobie najspokojniej na okopie za krzakiem i czyhał na niego. Dziesiątki innych przebiegło przed jego wzrokiem, których mógł sprzątnąć, on nie, tylko na grenadyera czekał, póki mu nie podlazł pod cel. Potem flegmatycznie podniósł karabin, wypalił i w rów strzelecki się wsunął, mówiąc: „Mam go już!“

Niech on się na co uprze — myślę sobie w duchu — wypłata mi jakiegoś psikusa, i co będzie?

Z zadumy głos mnie wyrwał.

— Jak się macie? He? Prowadzimy tren! He? Pójdzie nam gładko! He? Jużem przygotowany!

Patrzę na Ciuchcińskiego. Zaiste srogi z niego stał się rycerz. Uzbrojony, jak rzadko który. Szabla z kutasem, bagnet obok, rewolwer przy boku, karabin na ramieniu. Widząc to roześmiałem się:

— Ciuchciński, bój się Boga! Ty cały pułk zawojujesz. Brak ci jeno karabinu maszynowego i małej armatki do twojego uzbrojenia — a cała brygada nieprzyjaciół ucieknie przed tobą. Weź-że sobie karabin maszynowy na plecy, armatkę do kieszeni i wystąp do walki. Jakże ty będziesz walczył tymi rozmaitymi rodzajami broni?

— Nic nie szkodzi! Wszystko się na coś przyda. Lepiej więcej, niż mniej. Wiecie? He? Konie mamy dostać!

— Niby tak. A skąd wy do trenu?

— Prosiłem wczoraj adjutanta, przydzielił mnie do was. He! Będzie nam dobrze?

— No Ciuchciński, zatem do roboty! Teraz już szósta, chodźmy do kucharzy, trzeba coś zjeść, a potem jazda. Zostawcie sobie w pokoju to uzbrojenie, przy menaży zawadzać będzie.

— Z szablą i z karabinem żołnierz rozstawać się nie powinien. — wycedził powoli — Z żoną, narzeczoną, rodziną, z tem mu wolno, ale z karabinem nie.

— No tak, nie macie pewnie żony, ani narzeczonej, to łatwo wam mówić!

— Miałem już nieraz!

— Kogo, żonę?

— E... co to, to nie! Żołnierz się nie powinien żenić. Narzeczoną miałem niejedną, alem zawsze się o coś posprzeczał. Jedna chciała, bym był śpiewakiem, druga artystą, trzecia urzędnikiem wpływowym, to też rzuciłem to wszystko w pioruny i zapisałem się do „Strzelca“ i dobrzem zrobił. Przydało się to ojczyźnie, lepiej jak śpiew i inne do księżyca gruchania. Kochanką mi szabla, karabin teściem, rów strzelecki ogniskiem domowem. Ani mi tęskno za nikim, ani mi się przykrzy.

Przy kuchni pojedynczo ustawieni żołnierze dostawali swoją porcyę. Wyśmienita herbata z rumem ogrzała nas, czarny chleb wojskowy smakował, jak ciasteczko od Michalika.

Po śniadaniu sortowanie wozów i przydzielanie poszczególnych żołnierzy do trenu. Wreszcie wszystko gotowe. Sformowane kompanie odmaszerowują, żegnane owacyjnie przez ludność miasteczka.

Deszcz przestał padać, niebo rozpogodziło się cośkolwiek. Jednakże po kilkudniowym deszczu kałuże błota na drogach stały, moczary rzecby można.

Na czoło trenu wystąpiłem i sprawdziwszy liczbę fur, dałem znak do ruszenia. Pierwsze wozy amunicyjne, następne z prowiantami.

Ciuchciński obok mnie w zamyśleniu maszeruje, od czasu do czasu oglądając się na jadące fury, rzuca stereotypowe słowa: „Powoli!“ — „Prędzej!“ i t. d.

Wyjeżdżamy pod górę. Góra wysoka, serpentyną ciągnąca się, jak wąż wijąca się po niej droga uciążliwa.

— Hej, Ciuchciński, prowadź tren, ja spędzę kilkunastu z wozów, bo widzę, że już powyłazili i jak królewicze jadą wygodnie, a konie zmęczone. Dam ja im jazdę!

Ciuchciński groźnie spojrzał po wozach i kiwnął potakująco głową. Zaczekałem na drodze, i z przejeżdżających fur spędzać począłem żołnierzy. Żadne tam bóle i inne historye nie znalazły posłuchu. Rozkaz i basta.

„Oporządziwszy“ ostatnią furę, pobiegłem szybko na czoło trenu, gdzie Ciuchciński „windować“ już począł pierwsze wozy na górę. Przebyliśmy wreszcie tę górę ruszamy równiną.

Odwracam się, obserwując pojedynczych żołnierzy. Przy trzecim wozie chłopczyna idzie malutki, karabin dźwiga na ramieniu, bez płaszcza idzie i czapki. Zaczekałem na niego.

— Hej, obywatelu! Gdzie czapka, płaszcz? Zimno wam tak przecież!

— Nie mam! Co zrobić?

— Jakto!? Czapki nie macie?

— Nie mam. Zabrakło dla mnie. Miałem słomkowy kapelusz, wiatr mi go porwał A płaszcz za długi na mnie.

Patrzę na innych. Rzeczywiście, w ostatniej chwili w Huszt dostaliśmy płaszcze wielkie, kawaleryi austryackiej. Żołnierze nasi, przeważnie małego wzrostu wyglądali w nich jak „hałaciarze“. Niektórzy podwinęli rogi płaszczów pod bok, rodzaj żakietu tworząc. Niejednemu wlókł się płaszcz po ziemi, jak suknia ślubna z „ogonem“. Pociesznie to wyglądało, ale przynajmniej chroniło od przenikliwego zimna.

Ciągła kontrola i przebieganie koło wozów znużyły mnie i wyczerpały.

— Ciuchciński?

— He?

— Idźcie na tył trenu i pilnujcie tam, aby porządek był. Ja tu na przodzie pozostanę.

— Dobrze.

Zmęczony, wyczerpany wlokę nogę za nogą, monotonnie maszeruję, zwracając tylko uwagę na łączniki, które mi komendę batalionowego podawały. Nagle... puf... strzał karabinowy dał się słyszeć. Wstrzymuję tren, czworobok z wozów chcąc uczynić, na wypadek walki. Ale podjeżdża ordynans Sroka i śmiejąc się, mówi:

— Jazda, jazda! To Ciuchciński wojuje!

— Cóż tam znowu?

— Ano wypadek. Manipulował coś koło karabinu i wypalił mu.

Dochodzi wkrótce Ciuchciński, z obandażowaną ręką. Karabin rzucił na wóz.

— Cóż to Ciuchciński?

— A psiakrew! Zardzewiał karabin, naładowałem go, potem gdym wyładowywał naboje, wypalił mi, cośkolwiek rękę skaleczywszy. Szczęście, że na tem koniec!

— Psiakrew, myślałem już, że na tyły napadli Moskale. Furmani baczność! Tren... Marsz!

— Ciężko naładowane wozy ciągną konie. Para z nich bucha, jak z lokomotywy, jednak idą wytrwale. Radzę Ciuchcińskiemu, aby wsiadł na furę, jako ranny, ma do tego prawo, ale on przecząco kiwa głową. Woli iść piechotą, niż trząść się po wyboistej drodze. Rozmawiamy o tem i o owem, gdy nagle... trzask... koło u drugiego wozu pęka, i wóz pozostaje na środku drogi. Wstrzymałem tren, pytam się o zapasowe koła. Nie ma. Przed nami na wzgórzu kilka chat ukazało się. Wziąłem dwóch żołnierzy i pobiegliśmy żwawo do chat. Zawarczały psy przy chatach. Żywej duszy nie ma. Dopiero energiczne walenie kolbami doprowadziło do ukazania się gospodyni.

— Hej, gospodyni!

— Coiż panoczku?

— Koło potrzebuję do wozu. Albo cały wóz.

— O, niema, niema — zajęczała.

— Chłopcy, poszukajcie no, czy niema.

— Zaraz znajdziemy!

Pobiegli żwawo za chatę i po chwili z tryumfem przynieśli dwa koła.

Gospodyni poczęła lamentować, że potrzebne jej do wozu. Niby, co ja miałem zrobić? Zostawić dwadzieścia siedm tysięcy naboi na gościńcu? Dałem jej kwit na te koła, z którym pobiegła natychmiast do adjutanta, a ten wypłacił jej żądaną sumę pieniędzy. Założono nowe koło, tren ruszył dalej. Fatalny to był jednak dzień. Ledwie ruszyłem na czoło trenu, gdy nadjechał na koniu adjutant Jakubowski i przywołał mnie.

— Psiakrew... Od czego jesteście komendantem trenu! Jak uważacie na ludzi i fury. Przedostatnia fura z amunicyą w rowie.

Wstrzymałem tren. Udałem się za adjutantem, aby sprawdzić wypadek. Żołnierze jednak uwinęli się już, naładowali wóz, tylko jeszcze z rozbitej przez upadek skrzyni zbierali rozsypane pojedynczo naboje.

Adjutant klnie, usprawiedliwiam się jak mogę, wkońcu dodaję:

— Wybaczcie, adjutancie, jam także człowiek. Trzy noce z rzędu nie spałem, teraz uganianie tu przy trenie, tembardziej, że konia miałem dostać, aby módz porządnie kontrolować żołnierzy.

— Jakto? Nie macie konia?

— Nie.

— Ordynans Sroka! Konia dla komendanta trenu!

Przyprowadza Sroka konia. Kulawy był ten konik, ledwie sam chodził.

— Umiecie jeździć konno?

— A jakże!

— To siadać!

Patrzę na konia. Siodło jest, ale ani strzemion, ani uzdy niema. Jak tu kierować tym koniem? Kręcę głową na wszystkie strony.

— No siadać, siadać — upomina adjutant — zaraz jedziemy.

— Obywatelu adjutancie, nie mogę jechać na tym koniu.

— To czemu?

— Niema uzdy, niema strzemion, koń kuleje.

— To jakoś sznurkiem związać.

— Jakże koniowi wiązać mordę sznurkiem?

— Siadać! Spróbować!

Rozmachnąłem się i skoczyłem na konia, który stał jak łania potulnie, podnosząc od czasu do czasu skaleczoną nogę.

Kopię go obcasami, targam za grzywę, ciągnę za ucho, biję prętem po karku, koń ani drgnie. Poczęstował go któryś z żołnierzy kolbą w bok, poruszył się, postąpił parę kroków do siana, leżącego na furze, łeb wsadził i ani rusz. Żadna siła nie zdołała go już oderwać od świeżutkiego sianka.

Zeskoczyłem tedy z konia. Ciuchciński boki ze śmiechu podparł, adjutant ironicznie począł się uśmiechać, a mnie poczęła ogarniać wściekłość.

— Albo koń zły, albo jeździec zły — roześmiał się Ciuchciński.

— Obaj się dobrali! — dorzucił adjutant, odjeżdżając.

Złość mię ogarnęła na konia, na siano, na Ciuchcińskiego i na wszystko, co wpadło mi pod rękę. Żeby koń nie zobaczył był siana, byłby ruszył dalej, żeby Ciuchciński nie przymówił się, adjutant nie byłby mi przygryzł. Postanowiłem się zemścić.

— Ciuchciński!

— Co jest?

— Na konia siadać! Jedź!

— Nie umiem jeździć. Rękę mam skaleczoną.

— Ciuchciński! Ostatni raz ci mówię, siadaj na konia.

Mrugnąłem na żołnierzy. Ale i on się spostrzegł i zwiał na tylne wozy.

Nocą przymaszerowaliśmy do Huszt, wsiedliśmy do wagonów kolejowych. Do piątej rano ładowano tren. Deszcz ulewny przemoczył nas do nitki, to też z przyjemnością udałem się na spoczynek do wagonu towarowego. O szóstej pociąg ruszył w dalszą drogę. To była ostatnia podróż koleją po węgierskiej ziemi. Spałem w wagonie do południa. Kiedy wyszedłem z wagonu, kompanie były gotowe już do drogi, tren jeno trzeba było wyładowywać z pociągu. Po dwugodzinnej pracy załatwiono się ze wszystkiem. Adjutant przeglądnął przygotowane wozy, poczem zwrócił się do mnie:

— Jak tam, zdrów?

— Niebardzo! Kłucie w boku, nogami nie mogę ruszać.

— To pewnie od tej jazdy na koniu?

— E... nie. To prędzej od marszu i deszczu.

— A gdzie wasz koń?

— Puściłem go na wolność. Automobil trzeba było do niego, aby mógł iść. Kulawy, ślepy.

— A boście mu dogodzili tą jazdą. Za karę musicie iść piechotą. Nie sztuka na porządnym koniu jeździć.

— Ja tam już wolę piechotką.

— Do woli... do woli...

Podciął ostrogami konia, do maszerujących kompanij podjechał.

Przez parę godzin wlekliśmy się po błotnistych drogach, wreszcie przybyliśmy do Dombo. Noc już była wielka. Kwatermistrze dzielnie się spisywali, gdyż przygotowali ciepłe i miłe kwatery.

Po kilku dniach marszu i kilku nieprzespanych nocach położyć się w ciepłym pokoju, wielka to była radość. To też w okamgnieniu wiara poczęła chrapać jak najęta.

Usadowiłem się pod piecem kuchennym, w jakimś opustoszałym domku, świeżutką słomą obłożyłem się, jak niemowlę powijakami, i zasnąłem.

. . . .

Nazajutrz odmaszerowały bataliony z Dombo i przedzierające się wąwozami przez Karpaty, zmierzały w stronę Galicyi.

Wawel zmartwychwstający.

Dziesiąty już rok dobiega od ustąpienia wojska z królewskiego zamku na Wawelu, od lat dziewięciu trwa praca około odnowienia najdroższej pamiątki i chwały naszego narodu. Obok oczyszczania zamku z naleciałości pochodzenia obcego, najintenzywniej w ostatnich czasach pracowano około restauracyi wewnętrznego dziedzińca arkadowego. —



Wawel zmartwychwstający: Zarząd Wawelu: Karol Skawiński, architekt (siedzi) i sekretarz Adam Bogdani.



Z pułku Piłsudzkiego: Biwak.

Strzeliste lekkie kolumny wszystkich piątr zostały zwolnione od austryackich obmurowań. Obecnie usunięte zostały rusztowania ze wszystkich skrzydeł krużganków i można podziwiać zmartwychwstały w dawnym blasku zabytek, jeden z najpiękniejszych z epoki renesansu w całej Europie, znakomite dzieło Bartłomieja Berecciego. Dziedziniec turniejowy, owo serce Wawelu, widzimy teraz takim, jakim był w Jagiellońskich czasach i jakim pozostał aż do zajęcia Wawelu przez wojska austryackie.

Po dziewięciu latach trwania restauracyi Wawelu uczyniono na pierwszy rzut oka niewiele; gdy głębiej w rzecz wejrzymy, spostrzeżemy, że zrobiono bardzo dużo. Dzięki wstrzemięźliwej rozwadze, która kierowała się poczuciem olbrzymiej odpowiedzialności, największa praca restauracyjna, jaka kiedy w Polsce była i będzie wykonana, weszła na tory właściwe i temi torami toczy się już szczęśliwie do końca. Prastary nasz zamek stanie się po raz drugi świadectwem wysokiej kultury narodu.

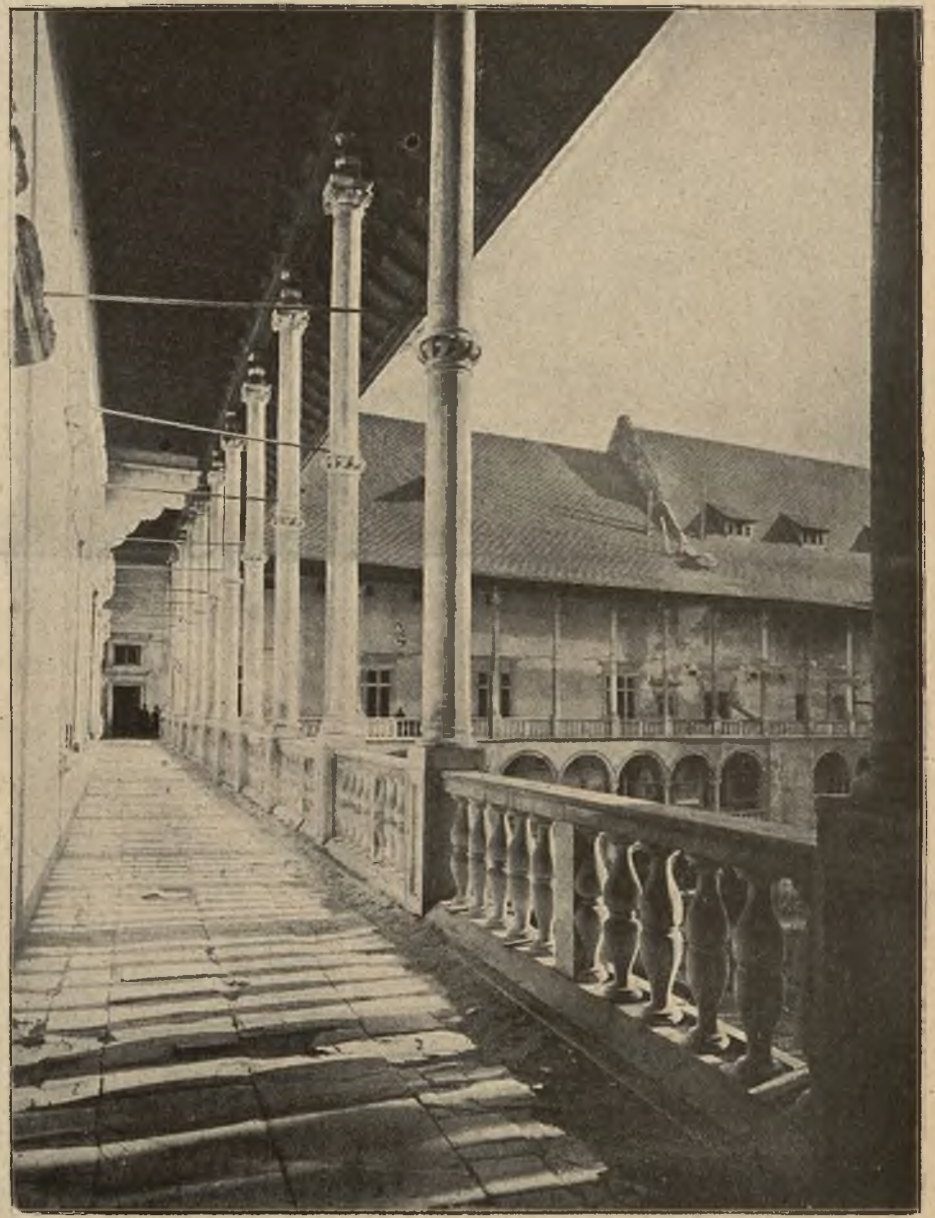
W numerze dzisiejszym podajemy szereg zdjęć z podworca arkadowego, jako też podobizny członków zarządu zamku, pp. inspicyenta kierownika budowy architekta Karola Skawińskiego i sekretarza zarządu zamku Adama Bogdaniego, za których urzędowania nadeszła radosna i historyczna chwila „zmartwychpowstania Wawelu".

Nowa wojna: Arsenał chiński.

Wawel zmartwychwstający: Część podworca arkadowego z bramą wjazdową.

Wawel zmartwychwstający: Podworzec arkadowy zamku z resztkami zdjętych rusztowań.





Widok podworca arkadowego z bramy wjazdowej. **Wawel zmartwychwstający:** Część kolumnady drugiego piętra.

Dla ofiar wojny: Herbaciarnia na dworcu w Nowym Sączu.





Na terenie walk w Królestwie Polskiem: Na wywiadówce. Okopy artyleryi.

Lekarze-Polacy na Sląsku.

W Opawie na Sląsku powstały olbrzymie szpitale barakowe za miastem, przeznaczone na 2000 chorych. Z 14 baraków, urządzonych według najnowszych zasad nauki, połowa przeznaczona jest na choroby zakaźne, druga, połowa na wypadki chirurgiczne. Budowę baraków i ich organizacyę przeprowadził p. Hanzel, komisarz rządu krajowego. W barakach pracuje 12 lekarzy. Z Polaków w barakach pracuie: dr Opolski, lekarz ze Stanisławowa, dr. Kwiatkowski, prymaryusz z Czerniowiec, dr. Ada Marek z Krakowa, dr. Jonas ze Lwowa i inni.



Lekarze-Polacy na Sląsku: Dr. med Ada Marek (X) w otoczeniu chorych i służby w baraku w Opawie.

Dla ofiar wojny.

Wobec ogromu nieszczęścia, jakie sprowadza na nas obecna wojna, dla tych, którzy nie zostali powołani pod broń, dla naszych kobiet, które od swych zajęć zostały oderwane, otworzyło się szerokie pole pracy obywatelskiej, aby przyjść ludności z pomocą i ulgą.

Jak wiele można zdziałać przy dobrych chęciach, może dać przykład prowadzenie herbaciarni Czerwonego Krzyża na dworcu kolejowym w Nowym Sączu. Herbaciarnię otwarto 20-go sierpnia u. r. i rozpoczęto kwotą sześćdziesięciu koron, złożoną przez urzędników i funkcyonaryuszy warsztatów kolejowych w Nowym Sączu. Zorganizowano służbę z pań, która trwa dzień i noc. Wskutek inwazyi Rosyan do Nowego Sącza herbaciarnia zamkniętą była od 14 listopada r. z. do 21 stycznia b. r., mimo to obroty kasy doszły obecnie do wysokości kwoty siedmdziesięciu sześciu tysięcy koron, co daje dowód o żywotności tej instytucyi.

Komitet, dążąc do tego, aby nie być ciężarem dla kraju, postanowił publiczności, służbie kolejowej i żołnierzom herbatę i przekąski sprzedawać po możliwie najniższej cenie, przez co obniżył także cenę posiłku w restauracyach na dworcu, zysk zaś obraca na bezpłatne obdzielanie posiłkiem rannych i chorych żołnierzy, oraz ubogiej przejeżdżającej publiczności

Ranni i chorzy otrzymują tu herbatę czystą, z winem lub rumem, wodę mineralną, ciasta, pomarańcze, cukierki, papierosy. Ilość wydanej herbaty w dnie większych transportów wojsk dochodziła do 2000 litrów. Aby zwiększyć dochody herbaciarni w celu



Na terenie walk w Królestwie Polskiem: Punkt obserwacyjny.





Na terenie walk w Królestwie Polskiem: Na pozycyi przed okopami. Artylerya na pozycyi.



Na terenie walk w Królestwie Polskiem: Kapitan Romuald Kowalski w Wodzisławiu (X).



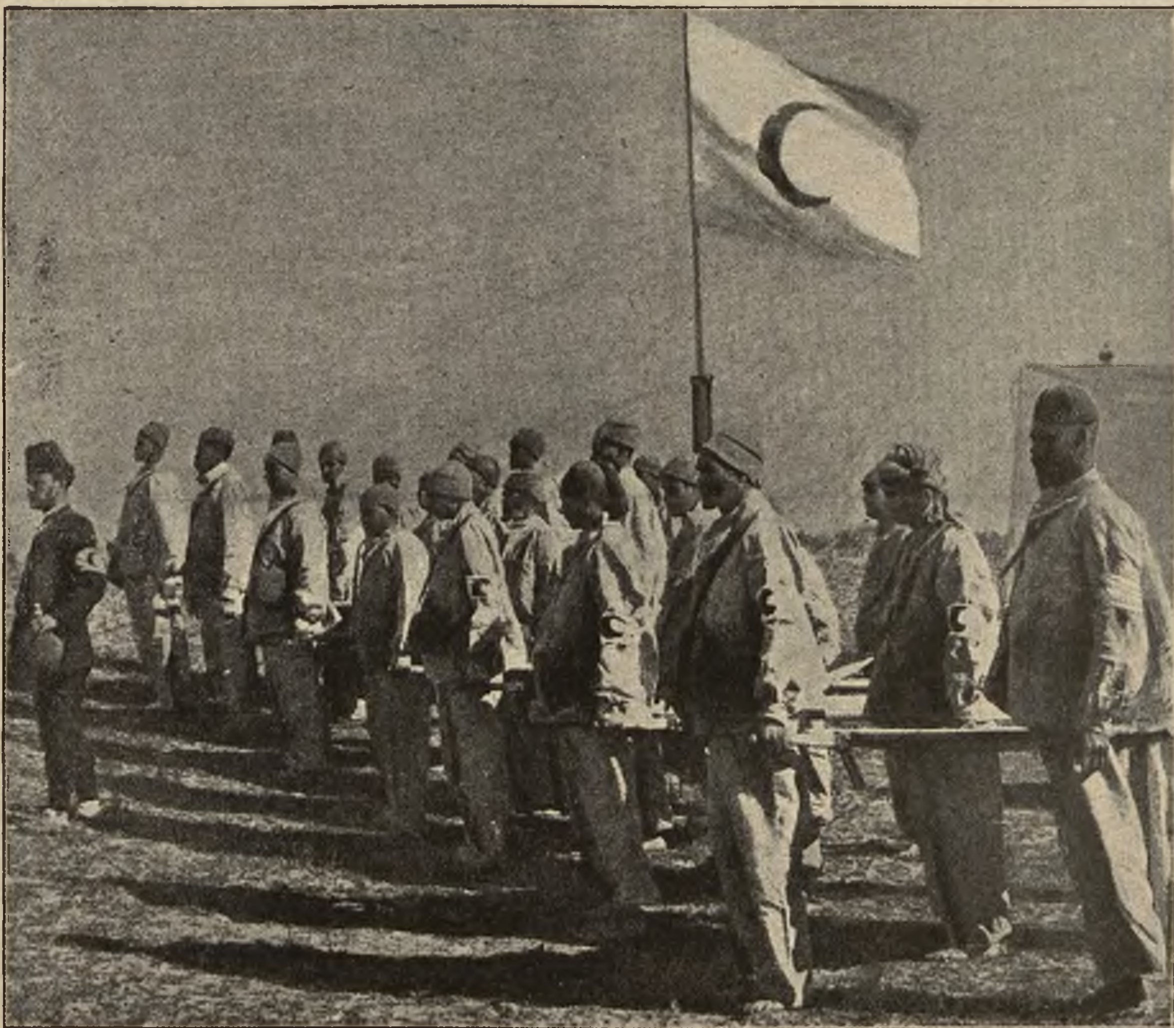
Opieka nad rannymi Legionistami: Grono rekonwalescentów w szpitalu rezerwowym w Kętach, z dr. Skórskim ze Żywca, dyr. szpitala i siostrami pielęgniarkami z Przemyślan.

hojniejszego obdarzania rannych, założono przy herbaciarni kram, w którym żołnierze mogą nabywać po niskich cenach potrzebne przybory, jako to: notesy, scyzoryki, sakiewki, tytonierki, fajki, mydła i inne rzeczy.

Za tę pracę należy się też wielkie uznanie pa-



Samobójstwo baronowej Vaughan: Karolina Lacroix, późniejsza baronowa Vaughan, wraz z dziećmi.



Z teatru wojny: Sanitaryusze tureckiego Czerwonego Półksiężyca.





Na terenie walk w Królestwie Polskiem:

Lekarze i oficerowie przed szpitalem w Wodzisławiu.

Armata zasłonięta gałęziami w chwili przelotu nieprzyjacielskiego lotnika.

niom, które nieraz w trudnych warunkach atmosferycznych, wśród słoty, mrozu, nocy, z całem poświęceniem pełnią służbę obywatelską.



Wdzięczność pacyenta: dr. Adam Łobaczewski, **lekarz** krakowskiej fabryki cygar.

Wdzięczność pacyenta.

„Niejednokrotnie już, podając illustracye, odnoszące się do szpitali wojennych, wspominaliśmy na łamach naszego pisma, iż oficerowie i żołnierze, którzy byli w nich leczeni, nie mają po prostu słów na wyrażenie uznania i wdzięczności dla personalu lekarskiego i samarytańskiego tych zakładów.

Dowodem tego najlepszym jest list, jaki otrzymaliśmy w tym tygodniu z Wiednia od jednego z żołnierzy, narodowości prawdopodobnie niemieckiej, list bowiem napisany jest w tym języku.

Autor jego, należący do pierwszego pułku artyleryi fortecznej, a przydzielony do drugiej bateryi trzydziestocentimetrowych moździerzy, po prawie siedmiomiesięcznych trudach wojennych zapadł do tego stopnia na zdrowiu, iż musiał się poddać kuracyi w krakowskim szpitalu fortecznym, umieszczonym w fabryce cygar, którego ordynaryuszem jest dr. Adam Łobaczewski.

Obecnie stan jego do tego stopnia się poprawił, iż wysłano go celem dalszej kuracyi i wypoczynku do Wiednia, skąd nadsyła nam bardzo serdeczny list wraz z fotografiami dra Łobaczewskiego i pielęgniarki, p. Heleny Pojatowskiej, prosząc o umieszczenie ich w *Nowościach Illustrowanych* wraz z podziękowaniem obojgu, tak w swem imieniu, jako też i innych chorych, leczonych w tym szpitalu, za nadzwyczajną życzliwość, z jaką odnosili się do chorych bez różnicy narodowości i troskliwe starania, by im ulżyć w niedoli.

Głos ten, pochodzący od człowieka obcej nam narodowości, jest chyba dość wymownym, chętnie też czynimy zadość życzeniu pacyenta, który w inny sposób, jak zaznacza w liście, nie mógł dać wyrazu wdzięczności dla swych opiekunów.

Samobójstwo baronowej Vaughan.

Zaledwie dziesięć lat minęło od tej chwili, gdy koronowany donżuan, król belgijski Leopold, zawarł morganatyczne małżeństwo z Karoliną Lacroix, ku której na stare lata rozgorzał namiętną miłością.

A było w kim się kochać, Karolcia bowiem, którą przypadkowo poznał w Paryżu, odznaczała się nadzwyczajną pięknością i powabem, otrzymała także nader staranne wychowanie, choć jej papa był tylko stróżem kamienicznym w Bukareszcie, gdzie ujrzała światło dzienne.

Od pierwszej chwili spotkania z Karoliną Lacroix pozostał król Leopold pod wrażeniem jej uroku wiernym jej aż do śmierci, i, choć rodzina starała się temu przeszkodzić, zaślubił ją morganatycznie, podniósłszy ją na kilka miesięcy przedtem do stanu szlacheckiego i nadając tytuł baronowej Vaughan.

W roku 1909 zmarł król Leopold, przedtem jednak, chcąc żonie zapewnić swobodne i wygodne życie, wręczył jej „ciepłą ręką“ drobiazg, bo *tylko* trzydzieści milionów franków, które przezorna kobieta przyjęła z wdzięcznością i ukryła tak starannie, iż dzieci nie mogły jej wytoczyć procesu o rewindykacyę należącej im się części spadku po ojcu.

W owym czasie był jej serdecznym przyjacielem i doradcą niejaki Durieux, ex-koniuszy na dworze belgijskim. Pocieszał też młodą wdowę w jej strapieniu, pomagał jej w ukryciu spadku, a ostatecznie z nią się ożenił i za pieniądze swej towarzyszki rozpoczął bardzo wesołe życie. Młodą parę można było widzieć w różnych najwytworniejszych miejscach kąpielowych kontynentu, specyalnie zaś w Monte Carlo, gdzie baronowa przegrywała kolosalne sumy.

Sprzykrzyło im się wreszcie tego rodzaju życie i wielka, a gorąca miłość skończyła się rozwodem. Teraz osiadła baronowa w Paryżu i tu zakończyła życie, nawiedzona oryginalną chorobą psychiczną. Zdawało się biedaczce, że ciągle grozi jej utrata majątku, mimo, że posiadała jeszcze kilkanaście milionów „oszczędności“, których Durieux nie miał jeszcze czasu w zupełności roztrwonić. Przywidzenie to przybrało w ostatnich czasach tak ostrą formę, iż pod jego wrażeniem odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru.



Wdzięczność pacyenta: P. Helena Pojatowska, pielęgniarka, zajęta w szpitalu fortecznym, umieszczonym w krakowskiej fabryce cygar.



Z teatru wojny: Tureccy oficerowie przed zburzonym budynkiem na Kaukazie.



Absolwenci jedynego zakładu zawodowego w Krakowie: Grupa profesorów i absolwentów. (×) Dyrektor, radca J. Kannenberg. (××) Kierownik kursu prof. Stan. Nycz.

jakąś wydatniejszą subwencyę (dwakroć rocznie, sądzę, wystarczy), a wówczas będziemy i kwartał czekać, aż nam ajencya wyrówna rachunek. Ale na- et i wtedy zupełnie bezinteresownie pisma naszego dsyłać jej nie będziemy, skoro ona każe sobie od- rcom płacić w gotówce.

Stare przysłowie powiada: *Audiatur et altera pars.* Gdyby też Sz. Interpelanci byli sobie w myśl jego postąpili, nie byliby palnęli głupstwa, bo właśnie ich odezwanie się zasługuje na miano „galicyjskiego bezhołowia i nędznej lekkomyślności“.

Odpowiadam Im własnemi Ich słowy, choć ortografią nieco zmienioną, „bezhołowie“, nigdy bowiem nie pisze się przez „ch“! Ale tajniki ortografii nie przez każdego zostały należycie zbadane, choć „Prawidła pisowni“ kosztują tylko dwadzieścia halerzy.

Bezstronny Czytelnik przyzna mi chyba racyę, wobec czego przystępuję do właściwego porządku dziennego.

Poprzednią kronikę zakończyłem zapowiedzią złotego okresu dla ludzkości, który ma nastać mniej więcej za okrągłe sto lat, odpowiedzialności przecież za spełnienie się owej przepowiedni nie przyjmuję, gdyż łatwo mogło się wydarzyć, że albo Edison przesadził, albo też ów interwiewujący go dziennikarz z przeproszeniem zblagował, bo i to się czasem zdarza.

Na razie przechodzimy jednak okres mniej przyjemny, nazwany przez historyków: „aprowizacyjno-ewakuacyjnym“.

Sążniste plakaty, umieszczone na rogach ulic, zawiadamiają ludność miasta, by była gotową do drogi, dzielą ją na cztery grupy i wyznaczają kwotę, jaką każdy musi złożyć w magistracie, by potem mógł korzystać z zapasów, nagromadzonych przez miasto na wypadek oblężenia.

Poświęciłem sporo czasu, by się treści nauczyć na pamięć, ale dopiero wówczas, gdym mógł ją recytować od początku do końca i naodwrót, przekonałem się, jakiem nędznem jestem stworzeniem.

Tak! Należę do owej czwartej klasy, która ostatnia stanie do ewakuacyjnego asenterunku, nic też dziwnego, że właściciel kamienicy i stróż, obaj z klasy drugiej, ba, nawet szewc z trzeciej patrzy na mnie z góry! Ale ja się na nich zemszczę! Pierwszemu nie zapłacę za mieszkanie, drugi nie dostanie złamanego szeląga „za szperę“, trzeciemu zostanę dłużnym za dostarczone trzewiki.

Kanceliścina, mieszkająca w tym samym, co i ja do mleka?

— Jakaś tania leguminka... Ot, na przykład budyń z mąki kukurudzianej! Pszeniczka teraz droga, a czynszu lokatorom nie można podwyższyć!... Może redaktor chce przepis? Dwanaście żółtek, pół funta deserowego masełka...

— Ależ! — przerwałem, bo czułem, że lada chwila zacznie mi ślina z ust kapać, niczem poczciwemu Nerowi, gdy mu zdaleka pokażę kawałek kiełbasy.— Na coś podobnego może sobie dziś chyba Rothschild pozwolić! Nie wiem, czy na podobny specyał odważyłbym się w dniu ślubu mej najstarszej córki...

— Trudno! Kochany panie! Człowiek musi się odżywiać, by wyglądał jako tako...

Myślicie może, Szanowni Czytelnicy, że na tem koniec? Dyabła tam!... Ledwie uszedłem kilka kroków, napotykam drugiego jegomościa, który, załamując tragicznie ręce, powiada:

— Redaktorze! Zeszliśmy na psy! Żal, że się człowiek człowiekiem urodził...

— Cóż tak dało się we znaki kochanemu panu?

— A cóżby?!... Kupiłem, panie, świnkę, ot, taką nieduża.

— Taką, jak ja? — zapytałem dla ścisłości.

— Skądżeby znowu! Ani połowy!... Kilka osób w domu, święta za pasem, taniej człowiekowi wypadnie, niż, gdyby się kupiło już gotowe u masarza. Miałem ją zabić w sobotę, przeciągnęło się przecież do poniedziałku i, czy pan uwierzy, kazali mi zapłacić dziennie po siedmdziesiąt pięć centów za jej utrzymanie! Ten wyzysk należy napiętnować w gazetach i dlatego panu o tem opowiadam!

— Tak, tak! Nieraz człowiekowi żal, że nie jest w świńskiej skórze i zazdrości jej losu!...

Obok stał jegomość, który, aby już ostatniego ćwieka zabić do mej trumny, powiada:

— W przyszłym tygodniu zaczynają się obrady komisyi dla podatku osobisto dochodowego. Dziennikarze robią dziś złote interesy, trzeba się wam dobrać do kieszonki!...

Myślałem o wszystkiem, ale, aby nasza administracya podatkowa aż do tego stopnia była o nas troskliwą, ani mi przez mózg nie przeszło! Dziś, gdy zastój taki ogólny, śruba podatkowa ma iść w ruch? Chyba przecież nikt się nie znajdzie, ktoby mógł mówić o „pomyślnych konjunkturach“...

Mój informator był chyba w błędzie. Może owa komisya zbiera się, ale nie w celu wymiaru nowego

na kredyt...) nowy kłopot... Na pierwszy ogień ma iść Kasia, potem ja, tymczasem panie poprawią fryzury i t. d.

Ale Kasia płacze i oświadcza, że ona się nie pozwoli „fetegrafować“.

— Dlaczego? — wołam, całkiem już wściekły.

— Bo się boję! — odpowiada, ocierając łzy rąbkiem jedwabnego fartuszka, który otrzymała niegdyś odemnie, jako nagrodę za troskliwe pielęgnowanie mej osoby przez czas pobytu rodziny na wakacyach — Marcinowa, stróżka, mówiła mi zresztą, że to bardzo boli!

— Aj, ty głupia! — ja jej na to — Nie wierz babskim gadaniom... No, jazda, rozbierać się!

— Kiej się wstydom! — odpowiada dziewucha i dalejże rozwiązywać tasiemki...

— Czyś oszalała?! Chustkę tylko zdejm, nie kiecki.

Ostatecznie jakoś poszło. Teraz kolej na mnie. Ze mną miał fotograf dość biedy, nie mogłem bowiem w żaden sposób utrafić w tak zwaną „przyjemną minę“, choć kręciłem gębą na wszystkie strony. Udało mi się dopiero, gdy żona wyszła z pokoju na chwilę.

Najbardziej namordował się jednak biedaczysko z moją połowicą i córkami i, jeśliby sobie życzył, mogę mu na piśmie wystawić świadectwo, że jest człowiekiem o gołębiem sercu i anielskiej iście cierpliwości. Ja na jego miejscu plunąłbym na wszystko, bo nie znoszę grymasów.

Każdy, kto ma w domu fraucymer, wie o tem, nie potrzebuję więc powtarzać, co się tam działo przez dobre dwie godziny. Wspomnę tylko, że każda z niewiast, bodaj z dziesięć razy zmieniała fryzurę, kapelusz, minę, odwracała się przodem, to tyłem, a pytała ciągle:

— Proszę pana, a tak jest mi także do twarzy?

Ach, ta ewakuacya! Jak ona daje się na każdym kroku we znaki!

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Kraj, należący niegdyś do Polski. 3. Część rośliny. 4. Imię żeńskie. 5. Naczynie. 6. Członek rodziny. 7. Przyimek. 8. Samogłoska.

Gwiazda magiczna.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. (Czytać należy od cyfr ku środkowi). Wierzchołkowe litery, czytane w porządku, oznaczonym liczbami, podadzą nazwisko polskiego poety.

7 8 1
□ □ □
— — —
— — —
6 □ — — — — — □ 2
— — —
— — —
□ □ □
5 4 3

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak drapieżny. 2. Rzeka w Niemczech. 3. Choroba zakaźna. 4. Naczynie. 5. Imię żeńskie. 6. Mały pokoik. 7. Napój. 8. Przybór krawiecki.

Kwadrat magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Podane litery uporządkować w ten sposób, by powstały cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a d d
m o o p
s w w z

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak drapieżny. 2. Zjawisko atmosferyczne. 3. Naczynie. 4 Imię męskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

To, ono, ciecz, cielę, dusze, wiece.

Okienko.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a j k
k k l l m
o o o
o r r u n

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Koń. 3. Inaczej służący.

Szarada.

Ułożył Sokrates, Nowy Sącz.

Hej! Cieszcie się młode pary,
Kiedy zabrzmi *raz-dwa* stary!
Wszystkie miłe i ochocze,
Więc kochane i cenione,
Całe żywe... też urocze,
Lica ich zarumienione,
Jako polne *pierwsze-trzecie*..
Całość także smacznie jecie,
Na tem koniec, bo już wiecie!

Logogryf.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza.

□
— □ —
— — □ — —
□ □ □ □ □ □ □
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Niemczech. 3. Rodzaj wozu. 4. Szukany wyraz. 5. Zwierzę domowe. 6. Dopływ Dunaju. 7. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Nawias, gaża, jęki, gonty, kuna, dąb, oda.

Bilety wizytowe.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z liter na biletach ułożyć nazwę wyspy, którą poszczególne osoby zamieszkują.

ADAM NINO

MARTA US

JAN HAN.

SALA NICH.

AGA RAK.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Ludwika Romockiego:* **Miłość księcia Stefana**. Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 11.

Logogryf:

z
n ó w
c a ł k a
k r o k i e w
K r a s i ń s k i
s e k r e t a r z
g ł o w n i a
p a s z a
i k s
i

Równanie:

Dyszel, Olga, Krasiński, Żeromski = Dygasiński.
Argony, łodyga, żyrant, ciasto = Gody życia.

Łamigłówka:

J a g a
E z a w
Z y t a
I w a n
O l e g
R y g a
A z o r
M a r y
A m o s
Z e n o
U r a l
R a w a
S a r a
K a r a
I d z i
E r y k

Zagadka sylabowa: Baran, Adam, łodyga, Ural, cytra, krawiec, Irena.

Przysłowiówka: Równy rad równemu.

Bilety wiz towe: Aeronauta. Rysownik. Ajent policyjny. Żołnierz Rzeźbiarka.

Zadanie konikowe:

Wiek już spłynał niepowrotnie.
Jako fale te w Elsterze,
Które Cię na śmierć tuliły,
Józefie, nasz bohaterze,
Wiek przeminął, gdyś za wolność
Oddał życie swe w ofierze,
A choć w ślady Twe szło wielu,
My w niewoli, bohaterze!...

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, L. Opolski Wadowice, S. Karczmarski Poddębie, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, J. Pytel Kolbuszowa, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A. Waga Kraków, K. Langer Berno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Stępień, Budapeszt.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Polskie Archiwum Wojenne. Odezwa komitetu. Mimo, że nie przebrzmiał jeszcze szczęk oręża i nie ustał huk dział, czas już nam myśleć o tem, by przyszłym pokoleniom przekazać jak najwięcej rzetelnych świadectw obecnych wydarzeń, aby historyi, tej mistrzyni życia, co kiedyś odtwarzać będzie chwilę dzisiejszą, dostarczyć jak najobfitszego materyału do wyświetlenia udziału Polski w wojnie światowej i wykazania jej skutków dla narodu i ziemi naszej. Co rychlej rozpocząć należy zbieranie, gdyż toczące się szybko wypadki zacierają z dnia na dzień ślady wczorajszych zdarzeń: wiele też cennych materyałów przepaść może bezpowrotnie, jeśli się ich już teraz nie zacznie ratować przed zatratą i gromadzić dla przekazania potomności, nie tylko na pamiątkę, ale przedewszystkiem ku pożytkowi i nauce. Pamiętajmy, że przeżywamy chwile, jakich od wieków naród nasz nie doświadczał.

Ze zbiorów tych ma powstać w przyszłości polskie archiwum i muzeum wojny światowej — Narodowi na pożytek, Kulturze polskiej na chwałę.

Zbierać należy wszystko, co ma bezpośredni lub pośredni związek z udziałem Polski w wojnie światowej, a w szczególności:

1. Wszelkie druki polskie i obce, t. j. dzieła i broszury (treści politycznej, ekonomicznej, literackiej etc., także pieśni żołnierskie), dalej pisma ulotne, odezwy, obwieszczenia, programy, zaproszenia, afisze, klepsydry.

2. Czasopisma polskie (krajowe i emigracyjne), wycinki z czasopism i dzienników obcych.

3. Materyały rękopiśmienne, jak pamiętniki, wspomnienia i zapiski, listy i kartki polowe żołnierzy i osób, które przeżywały wypadki wojenne, wykazy statystyczne, dotyczące stosunków gospodarczych i kulturalnych, nadto wszelkie papiery urzędowe i rękopisy, dotyczące dziejów polskich komitetów narodowych, organizacyi militarnych oraz wychodźtwa wojennego.

4. Muzealia, t. j.: illustracye tak poważne, jak i karykatury, fotografie, widokówki, znaczki pocztowe, bony wojenne, noty bankowe, pieczątki, mapy, odznaki okolicznościowe, pierścionki, medale pamiątkowe, monety, rzeźby, plakiety, utwory muzyczne, wreszcie broń wszelkiego rodzaju, rynsztunek, mundury i t. p.

Ponieważ zaś niejedną rzecz nabyć będzie można tylko drogą kupna, a przechowanie nagromadzonych materyałów wymagać będzie odpowiednich urządzeń, Komitet apeluje do ofiarności społeczeństwa, aby choć drobnymi datkami przyczyniło się do powstania i rozwoju Polskiego Archiwum Wojennego, które oby w przyszłości mogło być złożone w dani wolnej Stolicy Królewskiej.

Wszelkie materyały nadsyłać należy na ręce Komitetu Polskiego Archiwum Wojennego (Komitee des polnischen Kriegsarchivs) we Wiedniu. I., Steindelgasse Nr 6/I, datki zaś na ręce dra MARYANA JANELLEGO, skarbnika Komitetu P. A. W., Wiedeń, II., Schüttelstrasse Nr. 55/6.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego